

Hipokryzjo, mon amour

23 kwietnia 2018

Ludzie, wysłuchujący wykładów z historii bywają czasem zaskoczeni, kiedy opuści się schematyczne piedestały zatłoczone wielkimi nazwiskami, wielkimi wydarzeniami i zejdzie się na poziom tzw. zwykłego człowieka.

Bywa to konieczne dla lepszego zrozumienia ducha epoki, o której mowa, ponieważ najlepsi (albo najgorsi) nawet władcy nie działali przecież w próżni, ale dla swych poddanych, przeciw swym poddanym, razem ze swymi poddanymi – w każdym razie – zawsze wśród nich.

Od tego kim ci poddani byli, jak widzieli otaczający ich świat, jakimi zespołami pojęć dysponowali zależało powodzenie poczynañ władzy w stopniu nie mniejszym, niż taka czy inna jakość realizowanego przez nią pomysłu.

Od lat kilkudziesięciu dlatego właśnie w badaniach historycznych zwraca się większą uwagę na tzw. życie codzienne w poszczególnych epokach. Na razie – niestety – tylko na poziomie uniwersyteckim, do szkół średnich ta wiedza trafia w stanie szczątkowym; a szkoda, bo nie wszyscy w przyszłości studiować będą historię, wspomniana zaś wiedza ułatwiłaby młodym ludziom wejście w dorosłe życie niezależnie od kierunku jej późniejszej edukacji i wykonywanego zawodu.

Na dodatek taka historia bywa fascynująca i zaskakująca zarazem, ponieważ mówi o nas – o człowieku. To dzięki niej dowiadujemy się, że nasi przodkowie sprzed stu, pięciuset czy nawet dwóch tysięcy lat byli szalenie do nas podobni, wykazywali te same cechy charakteru, identycznie reagowali w podobnych sytuacjach, mieli te same wady i zalety, które zaobserwować możemy u współczesnych.

Spojrzenie na nich od tej strony ma tę zaletę, że możemy nauczyć się bezboleśnie tego, jakie konsekwencje przynoszą

takie czy inne zachowania, jakie oni popełniali błędy, co wpływało na ich postawę i czy ew. da się to jakoś skorygować w dzisiejszym świecie, by po raz enty nie obrywać po karku za coś, za co już nasi antenaci odpokutowali.

Czasem takie „odkrycia” zaskakują nas samych, stawiając nam przed nosem zwyczajne lustro, w które patrzymy nieco zmieszani i gorączkowo staramy się znaleźć sensowną argumentację, by poczuć się lepiej, niż wypadałoby w obliczu obrazu, który odbija się w lustrze.

Jeden z najprostszych przykładów z jakim ostatnio miałem do czynienia.

Każdy przyzna, że śmieciarz wywożący odpadki z naszych domów spełnia funkcję społecznie pożyteczną, poprawia komfort naszego życia itd., prawda?

A ilu z nas zadeklarowałoby przyjaźń z tym osobnikiem i w spontanicznym odruchu sympatii zaprosiłoby go na piwo?

Pytane o to osoby niemal w stu procentach były zaskoczone postawioną kwestią. A potem zaczęły się „wyjaśnienia”...

Jak to nazwać? Przecież teoretycznie powinniśmy cenić go bardziej, niż tego, kto nam owych odpadków przysparza, a takimi są np.... no to już dopowiedzcie sobie sami; tylko odważnie, bez zahamowań.

Omawiając życie codzienne w dawnej Polsce wspominałem o dość szczególnej profesji, która nie tylko w Polsce miała i ma „złą prasę” i nic nie wskazuje, by kiedykolwiek to się zmieniło.

Chodzi o zawód kata.

Moglibyśmy się licytować przytaczając przykłady zachowań niechętnych wobec katów, a nawet konkretnych przepisów miejskich z dawnych epok ograniczających towarzyskie możliwości tego specjalisty. Kat zawsze i wszędzie budził niechęć, obawy, wstręt.

Dlaczego? Pytanie bezzasadne? Odpowiedź z gatunku „oczywistych”?

Tak by się wydawało. Wystarczy jednak przyjrzeć się tej profesji nieco bliżej, by nabrać wątpliwości.

Wiele miast wydawało przepisy, według których kat musiał mieć swą siedzibę „z dala od ludzi” (co w warunkach planowej ciasnoty dawnych miast nie było łatwe), miał ograniczone możliwości komunikowania się ze „zwykłymi, porządnymi ludźmi”, był człowiekiem „osławionym”, budzącym najgorsze skojarzenia.

A z drugiej strony wszelkie egzekucje publiczne miały takie tłumy widzów, na jakie nie mógłby liczyć nawet najgenialniejszy dramatopisarz. Wielkie damy, delikatne jak mimozy, piszczwały z uciechy patrząc na męki skazańców na miejskich placach, a bywało, że okna z widokiem na miejsce kaźni były wynajmowane za całkiem duże pieniądze.

Mało tego. Z notatek urzędników miejskich dowiadujemy się, że zdarzały się i łapówki za wpuszczenie ciekawskich do izby tortur, gdzie kat zamęczał podsądnego jeszcze w czasie trwania procesu, które to pomieszczenia nie były przecież ogólnodostępne.

Spora liczba miast zatrudniała jako katów obcokrajowców, głównie z Niemiec, przekierowując społeczną niechęć na kogoś spoza „wspólnoty”.

Jakoś nikt w tym wszystkim nie brał pod uwagę, że to przecież nie kat wymyślał te tortury. Były one opisane stosownymi przepisami sądowymi, procedury ich stosowania były bardzo precyzyjne, kat nie miał możliwości wielkich manewrów w czasie, gdy na polecenie sądu wydobywał zeznania, czy kiedy dokonywał egzekucji.

To nie kat wydawał wyroki, wśród których tzw. kwalifikowana kara śmierci dziś przyprawia o dreszcze nawet w czasie czytania. To nie kat wymyślił karę za okradanie barci

pszczelich polegająca na otwarciu jamy brzusznej, przybijaniu końca jelita do drzewa i oprowadzaniu skazańca wokół niego tak długo, aż się skończyło.

To nie jego chora wyobraźnia podsuwała metody wykonywania kary śmierci w sposób zadowalający najbardziej wybrednego psychopatę.

Tego dokonywał sąd, którego członkowie cieszyli się szacunkiem społeczeństwa; otoczeni uznaniem dokonywali swoich dni w ogólnym poczuciu doniosłej społecznie misji. Ten, który ich wyroki wykonywał otaczany był pogardą.

A przecież nie było to jego jedyne zajęcie.

Tzw. mistrz czyli wykwalifikowany kat długo się uczył, zanim osiągnął odpowiedni poziom w zawodzie. Były do tego celu przeznaczone specjalne szkoły – w Polsce takowa mieściła się w Bieczu.

Absolwent takiej szczególnej uczelni posiadał wiedzę równą... medykowi. Zaskakujące? Wcale. Przecież musiał stosować tortury tak, by dostarczyć po nich podsądnego przed oblicze sprawiedliwości w stanie umożliwiającym złożenie zeznań. Nie mógł przesadzić, bo wówczas wszystko straciłoby sens, a on sam nie otrzymałby zapłaty. Wiedza na poziomie medyka była więc absolutnie niezbędna.

No a skoro miało się pod ręką takiego fachowca od medycyny, medyka w mieście brakowało lub był zbyt drogi to... tak, tak – niewielu się wahało przed skorzystaniem z pomocy kata np. w składaniu połamanych kończyn, z kupowaniem z jego apteczki leków ziołowych na setki dolegliwości itp. Tyle, że... pod osłoną nocy, aby „nikt nie widział”. Chociaż każdy wiedział.

Bywało, że kat prokurujący lekarstwa na choroby skórne wynajdywał specyfiki używane później jako... kosmetyki przez damy, odwracające od niego wzrok z ostentacyjnym wstrętem.

Ponieważ nie co dzień zdarzało się ścinać kogoś na rynku, a żyć z czegoś trzeba, kat miał się rozlicznych zajęć.

Na ogół był m.in. też miejskim hyclem, walczył z okresowymi plagami szczurów, które szczególnie dla miast średniowiecznych bywały sporym utrapieniem.

Każdy mieszkaniec dawnego (i dzisiejszego) miasta produkował tony odpadków i niemal każdy zdawał sobie sprawę z tego, co by się zdarzyło, gdyby wszystkie one pozostały tam, gdzie je wypracowano. Od ich nadmiaru zaczynały się zresztą wszelkie epidemie dziesiątkujące ludność.

A przecież to kat miejski, jak przekazują to nam zapiski radzieckie, zajmował się ich wywózką!

Można by tak bez końca, ale myślę, że to co już napisałem wystarczy, by ponownie zadać sobie pytanie o nasze reakcje.

Mamy człowieka, który spełnia wyjątkowo pożyteczną rolę w społeczeństwie i... pogardzamy nim, uważamy za kogoś gorszego, doskonale zdając sobie sprawę, że bez niego nie dalibyśmy sobie rady.

Nic się w tym obszarze nie zmieniło po dziś dzień. I pewnie nie zmieni, ale czasem warto się zastanowić nad naszymi własnymi odruchami, używaną przez nas estetyką społeczną, wartościowaniem zjawisk.

Zastanowić – nie szukać usprawiedliwień na siłę, bo się ich nie znajdzie.

Dla rozpoczynających takie poszukiwania dodam informację, że dziś, w wielu polskich miastach i miasteczkach są muzealne izby tortur cieszące się wielkim powodzeniem zwiedzających.

I to niekoniecznie miłośników historii.

Autorstwo: Jerzy Łukaszewski

Źródło: StudioOpinii.pl